

Pedant.

Po długich latach daremnego wyczekiwania pocziwy mieszczanin imieniem Józef Henryk Rauman, sekretarz ministerjum rolnictwa wystąpił jako pretendent o drobna rączkę Hanny.

Miał rumianą, puciołowatą twarz i cieszył się mienaganną opinią; skandaliczna kronika nie miała ani razu sposobności zajmowania się jego osobą.

Hanna zwlekała jakiś czas ze stanowczą decyzją; przyszedłszy jednak do przekonania, że dla 22-letniej panny zdrowa cera i dobre obyczaje konkurenta nie są dostateczną przyczyną do podania mu czarnej polewki, zrezygnowawszy ze swych marzeń o bładym Hiszpanie z najświeższego romanisu, powiedziała ostatecznie „tak”.

Rodzice, wujowie i ciotki Hanny słusznie uważali Raumana za idealnego kandydata na męża — prócz posiadanych wyżej wzmiankowanych przymiotów, uchodził za wzór urzędnika, przełożeni pod niebiosą wychwalali pracowitość jego, porządek i oddanie, dla kolegów zaś był encyklopedją chodzącą; notował bowiem najdrobniejsze wydarzenia, nigdy nic nie opuścił i o niczem nie zapominał.

Po ożenku nie zmienił się; przeciwnie — życie jego ułożyło się jeszcze regularniej: o 7-ej wstawał, o 9-ej szedł do biura, o 10 minut po 1-ej pracował na śniadanie. Tak był punktualnym, że Hanna nigdy ani chwili nie czekała z zupa.

Przed trzecią po południu znów marsz do biura i o 6-ej powrót do domu. Bez żadnego zboczenia w prawo lub lewo dzielił czas między lokalem biurowym a czternastoma ścianami swego domu.

Niejedna żona byłaby z takiego męża bardzo zadowolona, ale Hanna bynajmniej. Według jej gustu miał za dużo dobrych przymiotów, a za mało wad.

Zadawał sobie wprawdzie dużo trudu, aby żonkę, której osowiałość widział, rozzerwać. Mówił jej więc o polityce, teatrze, nowościach literackich, na co ona odpowiadała monosylabami.

Czego innego bowiem niecierpliwie czekała; pragnęła, aby jej opowiedział jedną ze swych kawalerskich przygód miłosnych, coś, co jego osobiście dotyczyło.

Oczekiwana chwila jednak nie chciała nadejść, więc młoda kobieta znużona wyczekiwaniem, wzięła inicjatywę w swoje ręce.

— Nie opowiedziałeś mi dotychczas dziejów swego życia, jakkolwiek już od sześciu miesięcy jestem twoją żoną.

— Dzieje mego życia? Bardzo chętnie, kochana Hanno. Skąd mogłem wiedzieć, że cię to interesuje? W każdej chwili gotów jestem do wymurzeń. Dziś wieczorem — jeśli sobie życzysz.

— Ach, dobrze, dziś wieczorem. Obiecuje ci w słuch się zamienić! — zawołała Hanna, klaszcząc radośnie w ręce.

Przez całe poobiedzie była bardzo podniecona. Poczyniła odpowiednie przygotowania na pełen obietnic wieczór: kilka żarzących się węgli na kominku, parę foteli przy nim i lampa dyskretnie przyćmiona nieopodal na stole.

Półcień w pokoju wydał się jej koniecznym: przypuszczała bowiem, że mąż podczas spowiedzi nieraz się zarumieni po uszy.

Nadszedł wieczór. Henryk zasiadł wygodnie w fotelu, zapalił cygaro, nie omieszkawszy przedtem schować starannie odciętego końca i zaczął opowiadać o początku swej kariery, przeszkodach, które zwalczał, intrygach kolegów zawistnie patrzących na jego powolne, ale stopniowe awanse, wreszcie przyznał się — prosząc o zachowanie tajemnicy — że jest znowu w przededniu dostania się na wyższy szczebel drabiny urzędniczej.

Hanna, która podczas tego curriculum vitae raz po raz nerwowo kruczkiem grzebała w węglach, odezwała się:

— Cześć ci i chwała, kochany Henryku, dumna z ciebie jestem, naprawdę. Ale właściwie spodziewałam się dzisiaj coś innego od ciebie usłyszeć. Czyż nie masz mi nic — nic innego, bardziej tajnego ze swoich przeżyć do zakomunikowania?

— Co takiego, naprzykład?

— Nie chcesz mi zrozumieć? — Przytuliła się do męża kłiwie. — Nie wstydz się, mów! Z góry obiecuję ci, że nie będę zazdrosną.

— Powiedz wreszcie wyraźnie o co ci chodzi, co chcesz o mnie wiedzieć?

— Przypuszczam przecież... — tu młoda kobieta nie mogła powstrzymać krwawego rumieńca — że musiałeś mieć z parą awanturek miłosnych za kawalerskich czasów?

— Nie, dziecko kochane, na takie głupstwa nie miałem nigdy czasu!

— Ach, tak? — podchwyciła Hanna rozczarowana i na tem się rozmowa skończyła.

Madame oburzona była trzeźwością swego męża. W duchu jednak żywiła jeszcze cichą nadzieję, że może jej Henryk jest tylko obłudnym świętoszkiem. Są prawdopodobnie zajmujące karty w księdze jego żywota, których nie chce przytoczyć.

Nagle błyskawiczna myśl oślniła ją. Widziała go często szperającego w jednej z szuflad swego biurka.

— Przeglądał stare dokumenty — objaśniał ją zawsze.

Ha! Kto wie? Może szuflada ta zawiera archiwum donżuana?

Przypadek zrzucił pewnego razu, że Hanny kluczyk otworzył złowróżbne biurko Henryka.

— Palec Boży! — pomyślała sobie. — Zresztą, czyż mąż i żona to nie jedno ciało i nie jedna dusza?

Tą sentencją chciała nasza sofistka zgłuszyć resztki skrupułów sumienia.

Następnego zaraz przedpołudnia podczas godzin urzędowych swego męża wprowadziła w czyn niejny zamiar.

Tajniki szuflady leżały przed jej oczyma z pedantyczną starannością ułożone. Oto zwój cenzurek szkolnych Henryka. Ach, jak tam wszystko od: „wzorowo“ „doskonale“ błyszczało! Obok kilka listów pochwalnych i zeszyt z tytułem: „O filokserze w Galicji“ — dyplomowa praca Henryka.

Jakże to wszystko mało ją interesowało!

Wzięła paczkę listów do ręki i przejrzała je pobieżnie, zatrzymując się tylko dłużej na ręką kobiecą pisanych. Były to listy od matki i siostr. Tu szczególnie rzucało się w oczy zamiłowanie do porządku Henryka. Na każdym bowiem liście widniała notatka:

„Otrzymało dnia — odpisano dnia —“.

Oho! A to co za pikantnie wyglądający liściki? Pachnie fijołkami! Amor ze strzałą na winietce! Podejrzana sprawa!

Prędko rozłożywszy wonny arkusik — czytała:

„Panie! Widzę go często w teatrze, biorąc udział w chórze. Pan ma wygląd tak smutny, że chętnie podejmę się wnieść trochę radości w życie jego. Czy nie zechciałby pan czekać na mnie dziś po skończonym przedstawieniu u wejścia na estradę? Moglibyśmy potem pójść razem na kolację.

Amanda“.

— A jednak! — mruknęła Hanna mocno uradowana. — Miły świętoszek! Właściwie nie powinnam mieć mu za złe. Któż widział żonę w takie awanturki wtajemniczać! Ha, ha! Nicpoń! Napewno wesoło się zabałił ze swoją Amandą! Nie wątpię, że wspomniał kolację obstałował w separacie!

Hanna teoretycznie wiedziała cokolwiek o tego rodzaju męskich wybrykach. Jakże Henryk urósł w jej oczach z powodu tego odkrycia!

— No, trzeba teraz prędko szufladę do porządku przyprowadzić — szepnęła.

I już się brała do roboty, kiedy wzrok jej padł na parę słówek, napisanych ręką Henryka w rogu liścika:

„Załatwiono odmownie“ — przeczytała i mrukawszy gniewnie:

— „Pedant!“ — z hałasem szufladę zamknęła.

Tłum. Jotsaw.



DODATEK NIEDZIELNY DO „KURJERA ŁÓDZKIEGO“.

Rok IV.

Łódź, dnia 27 marca 1927 roku.

№ 13.

Dzień imienin Marszałka Piłsudskiego w Łodzi.



W dniu 19 marca r. b. z okazji imienin Pierwszego Marszałka Polski, obecnego ministra spraw wojskowych i szefa rządu, Józefa Piłsudskiego, odbyła się w Łodzi wielka uroczystość okolicznościowa, w której udział wzięły wraz z armją tłumy mieszkańców miasta. Zdjęcie nasze przedstawia moment odbywającej się rewii oddziałów garnizonu łódzkiego przed dowódcą O. K., generałem Małachowskim i korpusem oficerskim obok gmachu Grand-Hotelu przy ul. Piotrkowskiej.

Fot. A. Meyer.

Teatralja

Stanisława Przybyszewskiego — „Mściciel“. — Pożyteczna impreza. — Ewolucja teatru rosyjskiego i jego osobliwości. — Królowski autor.

Podługiej przerwie lat milczenia przemówił niedawno ze sceny Teatru Narodowego wciąż świeży jeszcze i moony talent Stanisława Przybyszewskiego. W 3-aktowym „Mścicielu“ odezwał się twórca wysokiej rasy i klasy, wielki do dziś chorąży dostojnej sztuki, z wiarą niezachwiana orzający niwę swego pisarskiego posłannictwa. Na tło zupełnie aktualnych stosunków polskich rzucił Przybyszewski akcję „Mściciela“, będącą jakgdyby parafrazą zasadniczych problemów „Nie-Boskiej“. Punktem wyjścia atoli walki dwóch naczelnych szermierzy arystokraty — Zbigniewa Szeluty, i demokracji — Henryka Orzelskiego, jest nie gordyjski węzeł nierówności społecznych, lecz katastrofa rodzinna, polegająca na samobójstwie uwiedzonej przez Zbigniewa siostry Orzelskiego. W rozwoju akcji motyw osobisty „zemsty“ spleta się w jeden wątek z motywami natury szerszej — społecznej. Niestety — „mściciel“ — Orzelski, celu swego nie osiąga. Rujując materialnie Zbigniewa, wyzwala go przeciw jednocześnie z pod władzy zatruwających istnienie Szeluty koszarów przeszłości; „potknąwszy“ się zaś o przeszkodę na drodze do swych szerszych celów — w postaci miłości dla siostry Zbigniewa, Izy — Henryk traci swój impet twórczy i moc przetwarzania rzeczywistości w formy nowe i lepsze.

Fantastycznie splecione nici losów postaci „Mściciela“ jedynie dzięki wielkiemu talentowi scenicznemu Przybyszewskiego dają się rozwikłać w sposób, nie urągający prawdzie i logice, sztuka zaś cała, naogół niezupełnie w dzisiejszym tego słowa znaczeniu — teatralna, posiada przecież powab

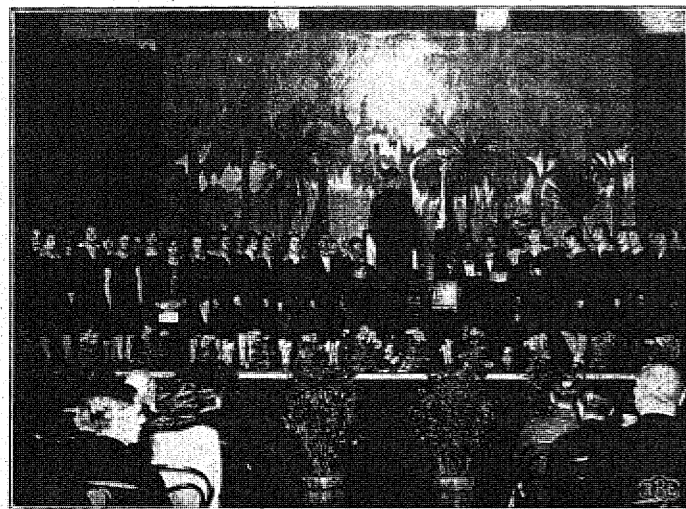
rumieńca, z krwi autorskiego przekonania i jego subiektywnego w sprawach sztuki credo-tryskającego. Podniosły ton nastroju i stylu, pewien patos szlachetny w poruszeniach i działaniach osób „Mściciela“, aczkolwiek są raczej echem dni minionych i podźwikiem dawniejszej twórczości autora „Złotego Runa“, brzmią jednak dzisiaj właśnie — niezwykle i uroczyście, a pociągająco, zwłaszcza dla widza, znużonego przeżuwaniem codziennej komedijowej sieczki. Zalety i braki „Mściciela“ są — jedne i drugie — w wielkim stylu, godne twórcy, którego znaczenie w pewnych momentach historii literatury naszej było — przełomowe, wogóle zaś ślady na jej kartach żłobi niezatarte.

Z wykonawców „Mściciela“ w Teatrze Narodowym wyróżnili się bardzo korzystnie pp. Gromnicka (Iza), Węgrzyn (Henryk) Chmieliński (Sawicki), Brydziński (Zbigniew). Po drugim akcie warszawskiej premiery zgotowano zasłużonemu autorowi gorącą i serdeczną owację, której zaszczyt Przybyszewski w sposób wzruszająco prosto i ujmująco zechciał podzielić z aktorami i reżyserem (p. Solskim).

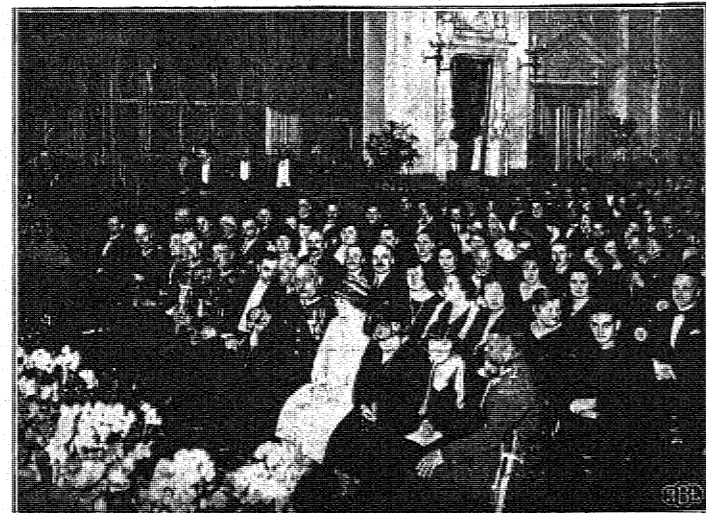
Bardzo pożyteczne i o poważnym znaczeniu kulturalnym przedsięwzięcie prowadzą miejskie teatry warszawskie, organizując co parę tygodni widowiska na peryferiach stolicy. Dodać należy, że przedstawienia te wyposażone są we wszelkie pomoce techniczne, kostjumowe i t. p. teatrów



Zjazd Dowborczyków w Warszawie w dniu 13 b.m. Delegacja Łódzkiego Oddziału składa wieniec na grobie „Nieznanego Żołnierza“.



W dniu imienin Marszałka Piłsudskiego, 19 b. m., odbyła się w sali Filharmonji akademja na której między innymi przemawiali pp. Kaden-Bandrowski, prezes Rady Miejskiej, dr. Fichna i inni. Pierwsze zdjęcie na lewo przedstawia na podium reprobujący się chór Tow. Śpiew. im. Moniuszki, drugie zaś uczestników akademji. Fot. A. Meyer.



miejskich i obsadzone przez najlepsze siły aktorskie. Tak np. w niedzielę ubiegłą Teatr Narodowy w siedzibie t. zw. Teatru Zjednoczonych na Woli wystawił „Śluby-Panińskie“ z udziałem pp. Frenkla, Leszczyńskiego, Brydzińskiego, Pichor-Słiwickiej, Gromnickiej i Majdrowiczówny. Widowiska te cieszą się z reguły olbrzymim powodzeniem uprzystępniając ludności przedmiem zapoznanie się z najwybitniejszymi utworami literatury dramatycznej i operowej.

W „rewolucyjnym“ i agitacyjnym teatrze sowieckim zaznacza się od dłuższego już czasu znamienna ewolucja w kierunku — wstecznym. Największe powodzenie kasowe osiągają sztuki bynajmniej nie zabarwione na oficjalny, sowiecki sposób, lecz przeciwnie raczej te właśnie, które są ostrożną — z konieczności — satyrą na aktualne stosunki rosyjskie. Sztuki agitacyjne, bolszewickie oraz przeróbki sztuk klasycznych, dokonane głównie przez Meyerholda kasowymi sukcesami szczyścić się nie mogą. Odzwierciedlanie i wspomnianie na scenie przeszłości, chociażby w karykaturalnej postaci, znajduje zawsze żywy odzew wśród widowni. Tak się rzecz ma np. z komedią Bulhakowa p. t. „Dni Turbiny“, gdzie są m. in. np. sceny hulanki oficerów carskich, połączone ze śpiewaniem „Boże, cesarza chroń“, albo charakterystyczne epizody z krótkiego okresu niemiecko-ukraińskiego panowania na Ukrainie. Powodzenie ma również sztuka Glebowa p. t. „Rust“, przedstawiająca strajk w fabryce sowieckiej, a w tendencji swej naogół dość opozycyjna względem władzy bolszewickiej. „Duch sowiecki“ coraz rzadziej przemawia ze sceny, „opiekuńcza“ zaś władza zmuszona była założyć specjalne biuro, zadaniem którego jest strzeżenie prawomyślności przedstawień teatralnych.

Eksperyment Meyerholda z „modernizacją“ „Rewizora“, o którym to zamiarze pisaliśmy niedawno, zawiódł. Niewiadomo

skąd i dlaczego główną rolę w sztuce wyznał Meyerhold — żonie horodniczego, postać zaś Chlestakowa obdarzył jakimś mefistofelicznym nimbem, dodając mu za stalego towarzysza i doradcę nieistniejącego oficera gwardji (?) z Petersburga. Nawet urzędowa krytyka sowiecka dowolności te przyjęła chłodno i z niejakim niedowierzaniem.

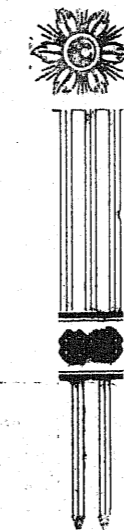
O wiece oryginalnych stosunkach pomiędzy władzą pp. komisarzy a światem literackim świadczy interesujący fakt — jeden z wielu — że znany pisarz Aleksy hr. Tołstoj „na zamówienie“ komisariatu finansów pisze propagandystyczną sztukę, przeznaczoną dla klubów robotniczych p. t. „Sto tysięcy“. Biedni są, doprawdy, ci literaci sowieccy, pracujący — na zamówienie i pod argusowem okiem agentów z G. P. U. (dawna Czerwczajka)!..

Konserwatyzm teatru rosyjskiego uwydatnia się daleko silniej w operze, niż w

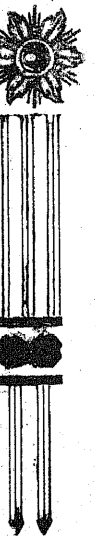
dramacie. Próby zrewolucjonizowania opery, podejmowane w początkach „dyktatury proletariatu“ spelzły bardzo prędko na niczem, i obecnie zarówno sam repertuar głównych teatrów operowych, jak i metody inscenizacyjne są najzupełniej dawne, „burżuazyjne“. Tak więc na afiszach spotkać można najczęściej: „Lohengrina“, „Carmen“, „Cyrulika Sewilskiego“, „Pikową Damę“, „Lakmę“ i t. p.

Szwedzka rodzina królewska poszczycić się może nieładami artystycznymi. Jeden z synów króla Gustawa jest wysoce uzdolnionym malarzem, drugi zaś, ks. Wilhelm napisał sztukę p. t. „Na pokładzie“, graną niedawno w Helsingforsie. Charakterystyczne, że tłem jej są dysharmonje społeczne, akcja zaś toczy się na okręcie, podczas burzy morskiej, gdzie wobliczu groźnej śmierci odbywają się sceny pojednania i zbratania. Burza jednak mija — a ludzie stają się znowu — ludźmi...

Delta.



Pod przerwą zimową powraca do życia sport piłki nożnej. Zdjęcie powyższe przedstawia drużynę Klubu Sportowego Polonii Warszawskiej na występach w Łodzi. Fot. A. Meyer.



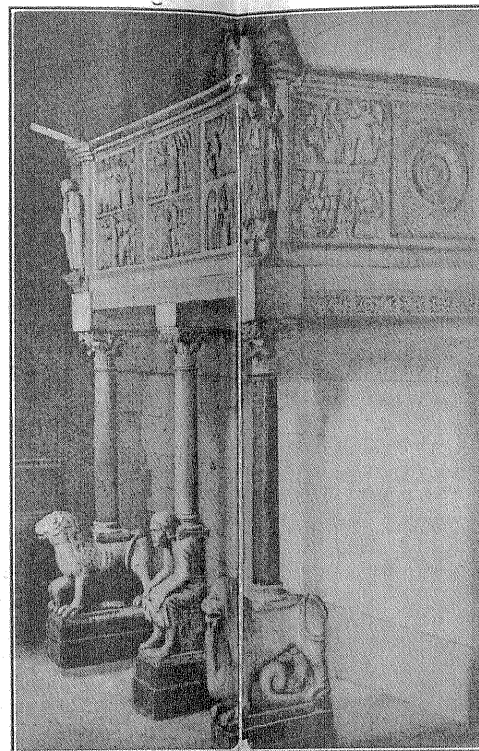
Uczestnicy zawodów w piłkę siatkową. Reprezentacja Łodzi na spotkaniu z Warszawą. Fot. A. Meyer.



Zespół drużyny „Turystów“, która rozegrała pierwszy w r. b. mecz z Klubem Sportowym Polonii Warszawskiej w dniu 20 b. m. na boisku przy ulicy Wodnej w Łodzi. Fot. A. Meyer.



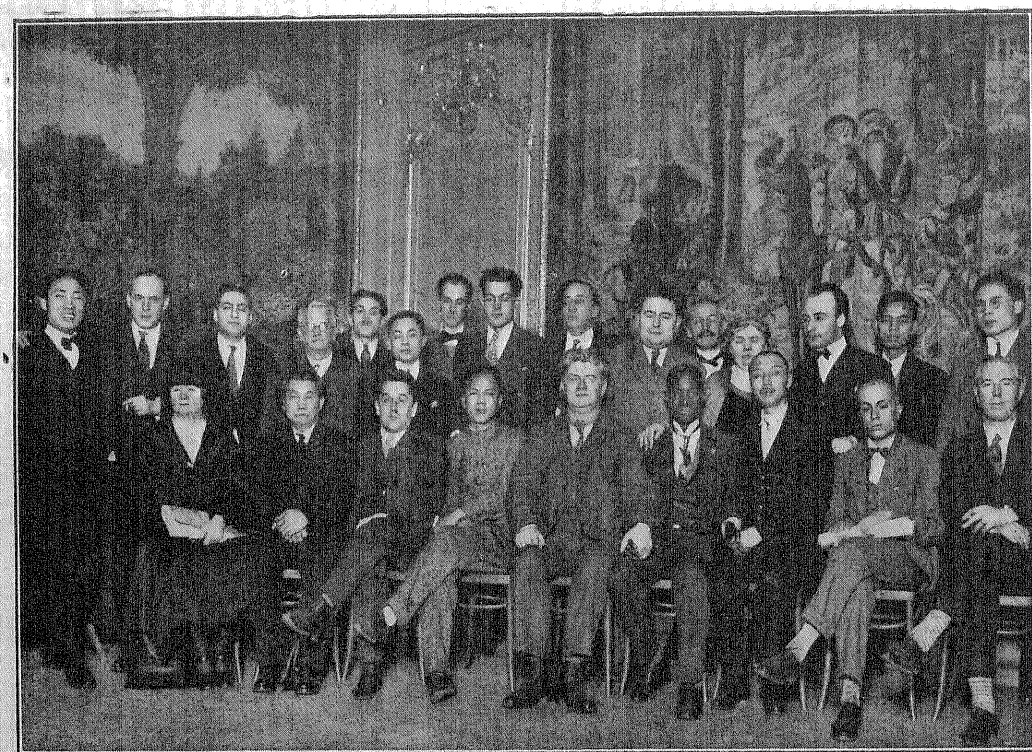
Polski uniwersytet robotniczy we Francji. Przedstawiciele okolicznych kolonij robotniczych i drużyny harcerskie na uroczystym otwarciu Domu Polskiego w Billy-Montigny.



Kazalnica kościoła św. Bartłomieja w Pisto.



Słynna moskiewska orkiestra symfoniczna, składająca się z muzyków-wirtuozów, jest tak zgrana, że wykonywa najtrudniejsze dzieła wielkich mistrzów bez udziału kapelmistrza.



Pod hasłem narodowego wyzwolenia. Międzynarodowy kongres antykolonialny w Brukseli przy udziale przedstawicieli wszystkich narodów, zamieszkujących kolonie mocarstw światowych. Na ilustracji prezydium kongresu.



Ujeżdżanie buhajów w kalifornijskim mieście Salinas. Doświadczeni cowboy'e twierdzą, iż jazda konna jest w porównaniu ze sportem tym igraszka.



Królowa sportu francuskiego w otoczeniu dam Dworu. Z lewej ku prawej pp. Paulette Pelon, Suzanne Boulanger, Odette Courtoux, wybrana na królowę sportów, Odette Bourbon i Renee Faisandie jej damy dworu.





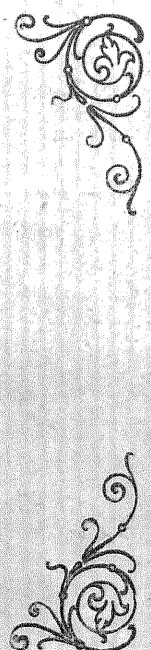
Zimowe manewry przysposobienia wojskowego.



Oddział karabinów maszynowych na pozycji.



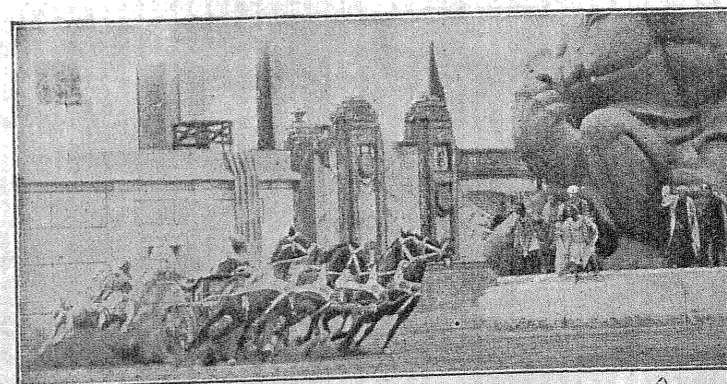
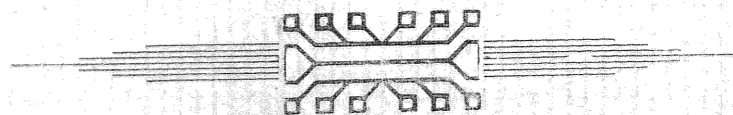
Zmiana placówki. Szybka translokacja karabinu maszynowego na nową pozycję.



Wera Woronina, ongi arystokratka rosyjska, dziś „diva” filmowa.



Jaruz Warnecki, reżyser na scenie poznańskiej.



Fragmenty z epokowego filmu p. n. „Ben Hur”, który wyświetlają dwa łódzkie kinematografy, a mianowicie „Casino” i „Luna”.



ALEKSANDER MOSZKOWSKI.

Ukarana blaga.

Do moich właściwości należy, że przy towarzyskiem „przedstawianiu“ slysze zawsze wyraźnie i dokładnie tylko swoje nazwisko, co mi w większości wypadków zupełnie wystarcza. Czy druga osoba nazywa się Szulc, Meyer czy Wolf jest mi to absolutnie obojętne i nie ma zwykle najmniejszego wpływu na prowadzoną rozmowę.

Muszę się z tym faktem zgodzić do czasu aż ludzie na wyższym stopniu kultury nauczą się nazwiska swoje i tytuły czytelnie wykaligrafowane nosić na swoich ubraniach dla uniknięcia możliwych nieporozumień.

Parę razy w życiu zdarzył mi się jednak z przyczyny powyższej niezbyt miły wypadek; ot, podczas tej luksusowej wycieczki chociażby, którą Lloyd bremeński na swym prześlicznym parowcu swego czasu zorganizował. Wzięli w niej udział li tylko zaproszeni goście i dyrekcja dokładała starań aby nastrój wśród wycieczkowiczów był swobodny i wesoły.

W tym celu przed każdym posiłkiem ciągnęliśmy losy, kto z kim ma zasiąść przy niewielkich czteroosobowych stolikach.

Przy pierwszym śniadaniu przedstawił mi memu vis-à-vis, jakiemuś niepozornie wyglądającemu mężczyźnie, którego nazwiska nie usłyszałem, oczywiście.

Chwilę przedtem telegraf doniósł o anarchistycznym zamachu na Mac-Kinleya, prezydenta Stanów Zjednoczonych.

Rad z okazji popisania się memi bardzo wątpliwej wartości transatlantycznymi wiadomościami, wygłosiłem przed swymi współbiednikami cały wykład na temat amerykańskich stosunków.

Nieznamy słuchał bardzo uważnie, z rzadka tylko i cicho wyrażając powątpiewanie, podczas gdy ja nie zważając na to brnąłem dalej.

— Jeżeli pan zamierza — zwróciłem się wprost do niego — osiedlić się w Ameryce, ostrzegam pana, że będziesz tam sam, bez opieki, poza prawem!!!

Moje vis-à-vis pozwoliło sobie na nieśmiałą uwagę:

— Wszak w Waszyngtonie jest poseł niemiecki, którego pomocy każdy jego ziomek może być pewien!

— Bardzo pan naiwny — zawyrokowałem — jeżeli nie masz silnych pleców w Waszyngtonie, nie dobiejesz się do sekretarza nawet, nie mówiąc już o posle!

Po śniadaniu zasięgnąłem języka, kto jest ów nieznamy, któremu takie serdeczne rady dawałem i proszę sobie wyobrazić moją minę, skoro się dowiedziałem, że był to von Holleben od czterech lat poseł niemiecki w Waszyngtonie!

Nie dość na tem jednakże; sążone mi było „zasypać się“ jeszcze raz w życiu:

fir. Hagenbeck w Hamburgu przysłała nam cennik wszelkiego rodzaju egzotycznych zwierząt. Postanowiłem tedy wykuć ceny na pamięć, ponieważ dziennikarz — jak państwu wiadomo — wszystko wiedzieć powinien!

W ciągu kilku godzin miałem cały cennik w głowie: para bengalskich tygrysów o jednym metrze wysokości w łopatkach — 6,500 marek; czteroletni lew nubijski — 1,500 mk., dorosły hipopotam — 10.000 mk. i t. d.

Kto prócz mnie w świecie, w którym się obracam, ma pojęcie ile jest wart sęp, wiewra, kangurs, hijena? Komy przyjdzie na myśl, że aligatory, krokodyle, węże - boa sprzedają się na miarę jak chodniki i firanki? Cieszyłem się w duchu, szukając już tylko okazji zaimponowania nowonabytą mądrością.

Zdarzyła mi się niebawem przy stoliku w kawiarni, gdzie z kolegami prasowymi spotykałem się codzień. Tym razem jednak prócz zwykłych moich towarzyszy zastałem nieznanego mi blondyna w jasnym kastorowym kapeluszu.

— Jakiś prowincjał — pomyślałem sobie i zająłem miejsce naprzeciwko niego. Koledzy dokonali towarzyskiej ceremonii przyczem, jak zwykle nazwiska mego vis-à-vis nie usłyszałem, mimo to jednak zagaiłem natychmiast rozmowę pytaniem do niego zwróconem: jak mu się Berlin podoba i czy zdążył już zwiedzić ogród zoologiczny? Na co otrzymałem dość lakoniczną odpowiedź, że ani Berlin ani ogród zoologiczny nie są memu interlokutorowi nieznane.

— Jeżeliby pan jeszcze raz do ogrodu zoologicznego zajrzał — mówiłem dalej protekcyjnie — niech pan się dobrze przypatrzy amerykańskim tapirom. Są to wspaniałe okazy i stanowią majątek! Jeden tapir kosztuje tysiąc pięćset franków.

— Zdaje mi się, że pan nieco przesadził — odparł grzecznie nieznamy — takiego tapira można już za osiemset marek nabyć.

— Za osiemset marek? — zawołałem, nie tracąc tupetu — ależ pan, jak widzę, nie ma zielonego pojęcia o cenach egzotycznych i podbiegunowych zwierząt! Wiedz pan o tem, że za jednego niedźwiedzia północnego płacą 3,500 mk., za parę bengalskich tygrysów o jednym metrze szerokości w łopatkach — 6,500, za czteroletniego lwa nubijskiego — 1500, za dorosłego hipopotama — 10,000, za wiewerę - samca również — 10,000!

Nieznamy kilkakrotnie próbował oponować mi, lecz ja, uniesiony własną swadą nie uspokoiłem się aż do chwili wyładowania przed nim całej zawartości hamburskiego cennika.

Zahukany mój słuchacz wstał i tłomacząc się późną godziną, opuścił kawiarnię.

— A to ci się udało! — pokładali się ze

śmiechu niecnoty - koledzy — to dr. Heck, dyrektor berlińskiego Tiergartenu!

Wpadłem w rozpacz, ale przeznaczni towarzysze opowiedzieli mi na pociechę, co następuje: Pewien francuski dziennikarz znalazł się na jednym z wielkich przyjęć w Elizeum, gdzie można było po defiladzie przed prezydentem rozmawiać z każdym z gości bez stereotypowego przedstawienia.

Żurnalista trafił na jakiegoś niepozornie wyglądającego jegomościa we fraku. Rozmowa zesłała na temat Brazylii.

Przedstawiciel prasy, opierający swe wiadomości o tym kraju na listach zamężnej siostry, mieszkającej w Rio de Janeiro rozwodził się szeroko nad stosunkami w Brazylii i oponującego mu raz po raz nieznanego zamierzał osadzić, mówiąc:

— Ależ nie zaprzeczaj mi pan i pozwól się pouczyć! Ja dobrze znam warunki tamtejsze, podczas kiedy pan nigdy prawdopodobnie Brazylii nie oglądał!

— Owszem — odparł jego niepozorny rozmówca z niezmaconym spokojem — nazywam się Pedro i byłem przed rewolucją w ciągu kilkudziesięciu lat cesarzem Brazylii.

Tłum. Jotsaw.



Gwiazda taneczna z przed 90 laty, Molly Fuller, występująca przez dłuższy czas w londyńskim Variéte.



DODATEK NIEDZIELNY DO „KURJERA ŁÓDZKIEGO“.

Rok IV.

Łódź, dnia 3 kwietnia 1927 roku.

Nr. 14.

Zjazd „Sokoła” w Łodzi.



W dniu 20 marca r. b. odbył się w Łodzi zjazd delegatów Rady Okręgu Łódzkiego Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół”, w siedzibie własnej, przy ul. Nawrot Nr. 23.